

40137

I

SZ.

40137

I

Teatr w Zakopanem.

Adolf Müller. — Pani Krajewska-Turska. — Teatr ludowy.

Pięć kroków wzdłuż, sześć na poprzek, z nich wykroić boki i kąty, na nich ustawić salę biesiadną, młyn z wiatrakiem, jezioro z kąpielnicami się syrenami i rozsypać gromadę grających, oto zagadnienie geometryczne, którego by nie rozwiązał i profesor matematyki, dyplomowany w Paryżu. A jednak zagadnienie to rozwiązał p. Adolf Müller, dyrektor wędrownego teatru. Wszystko to było na jego pięciokrokowej scenie i wszystkim złudzeniom wierzyła pobłażliwie publiczność, głównie zakordonowa, wykształcona, mająca smak, wiedzona istotnem zamiłowaniem sceny narodowej. Więc przesuwaly się sztuki smutku, żałoby i ofiarności. Nie zawodziły one widzów, a widzowie nie zawodzili grających. Jeżeli łaza zabłysła, szedł po niej okłask, tak jak idzie grom po błyskawicy. Przesunęli się przez scenę: *Tamten* (ten wielokrotnie, coś sześć razy); *Zaczarowane koło*, *Kiliński* G. Fischera, *W Dąbrowie górniczej* — Maskoffa, *Kraj* (nestora dramaturgów), *Rok 1861*



(„U wyłomu“) L. Starzeńskiego, — *Kościuszko, Ofiary 1863 roku* H. Stroki. Oto podstawa repertoaru na prowincyi. Obok tych, dawane dzieła treści spokojnej, domowej — jak *Miejsca kobietom, Okrężne*, wystawione były z tem z góry przeświadczeniem, że stowarzyszonym artystom na markę przyniosą zamiast guldena, centów dwadzieścia, za które żyć trzeba przez trzydniówkę.

Winę tego ponosi nie dyrektor teatru, ale urządzenie widowni. Kto ją budował, nie wiem; ale niech mu tego nie pamięta Pan Bóg na sądzie ostatecznym. Sala przeznaczona na salę balową, jest obszerna, pomieścić może wygodnie 160 krzesel i prócz tego siedzenia na ławach pod ścianą. Łoże osobliwe, jakich kształtu jeszcze żaden teatr nie wymyślił. Oto są otwory szuflad od wąskiej komody, wzniesione do firmamentu sali; nie widać, kto w tej ciasnocie się gnieździ — zapewne z tej ciasnoty mało co widać.

Scena ochydna. Niepodobna aktorom ruszać się po niej. Właściciel gmachu dał zrazu aktorom dwie garderoby. Wkrótce pożalował swej hojności. Więc w jednej pomieścił łóżko dla gościa, a drugą łaskawie do użytku pozostawił. Cały więc personal żeński i męski razem się przebieirał, przedzielony zasłoną płócienną.

Za tem poszło, że aktorzy, mający grać z drugiej strony sceny, przechodzili podczas dyalogu innych, grających, na drugą stronę, jakby duch Hamletowego ojca. Nie psuło to złudzenia, jak również gdy strażak przystawiał drabinę i poprawiał kurtynę lub przykręcał lampę, na środku sceny stale wiszącą.

Była to wystawa, jak za szekspirowskich czasów, brakło tylko napisów: Tu jest las, tu jezioro, a tu młyn.

Gdy się tyle pisze o przyszłości Zakopanego, należałoby pomyśleć o urządzeniu odpowiedniej sceny dla wykształconej publiki, spragnionej wystawy dzieł patryotycznych.

W tym roku zjechało do siedmiu tysięcy osób, samych wykształconych umysłowo i żądnych rozrywki. Za lat parę będzie ich zjeżdżać po dieście tysięcy. Osoby te nie mają, prócz rozrywek u Chramca, dla uprzywilejowanych gości, żadnego punktu zebrań podczas słot i wieczorów.

Nie wszyscy chcą rozrywać się kartami lub nadwerężać kości po górach. Większość radaby wieczorami zabawić się wypoczynkiem w sali teatralnej. Dzisiejsza sala całkiem na teatr nieodpowiednia. Co gorsza, tak urządzona, że w razie pożaru publiczność odrazu udusi się od dymu, zanim opatrzy się, którędy uciekać.

Z tej nory pobiera właściciel daninę, w miarę wypełnienia sali widzów. Gdy nabita sala, weźmie 40 złr. i więcej, gdy pusta, nie pogardzi i 20 reńskiem. Więc odnosi zyski większe, aniżeli artyści, na których przypada co najwięcej po guldenie na osobę od marki z widowiska. Z czego zresztą nie czynię mu zarzutu, bo on ofiar dla sztuki nie może ponosić.

Inną salę należałoby wybudować, ze sceną wygodną i obszerną, wypuszczać ją jak najtaniej, aby i entrepreneur odnosił skromny zysk i aby publiczność miała się gdzie wygodnie pomieścić i odnosiła wrażenie dobrego smaku i gry umożliwionej pomieszczeniem na scenie. Tak bowiem jak jest — nie można wymagać nawet gry znośnej, bo aktorzy nie mają się gdzie poruszać. — Co do mnie, lubo od lat sześćdziesięciu jestem stałym gościem teatru i tyle sposobności miałem oswoić się z grą aktorów, nie umiem sobie zdać

sprawy z wartości personalu A. Müllera. Być może, iż on mało wart, ale więcej raczej temu winna ciasnota sceny, niż gra. Ówsem, pomimo tych warunków niekorzystnych, nabrałem przekonania, że z kilku grających można by wyrobić artystów. Taki n. p. Folta, widocznie bardzo młody, ma w sobie zapal, głos dobry, pewną prezencję, możeby kiedyś był z niego amant niezgorszy. Taka Grafczyńska w *Zaczarowanym kole*, niezgrabna kasztelanka, jest wcale dobrą naiwną Wandą (w komedyi *Kraj*) i niezłą córką górnika (w dramacie w *Dąbrowie Górniczej*). Osoba szczupła, drobna, mizerna, z rodziców aktorów, widocznie zna doskonale rutynę sceniczną, dlatego w każdej roli umie sobie poradzić. Jest to użyteczność w całym słowa tego znaczeniu.

Turski wcale młody aktor, szykowny, zdaje się utalentowany, jak równie Protasiewicz obaj nadają się do ról charakterystycznych, a Müllerowa w roli komicznej Leokady Trzęsiewiczowej (*Kraj*) budziła salwy śmiechu za każdym ust otworzeniem choć nie miotała się po scenie, lecz mówiła spokojnie prawie na miejscu stojąc. Sam dyrektor Müller jest aktor wielkiej rutyny scenicznej. Jako Amerykanin Błoński (*Kraj*) mógłby i na scenie naszej mieć powodzenie, a jako Maciuś (*Koło zaczarowane*) nie grał gorzej od Nowackiego, a co osobliwa tak się ucharakteryzował, że wyglądał na młodego pastuszka. Filarem trupy była niezaprzeczenie pani z Krajewskich Turska. Osoba bardzo młoda (lat 21), ujmującej powierzchowności i nie zepsuta dotąd prowincjonalnem nadużywaniem efektów. Widziałem ją jako Antoninę Leszycką (*Kraj*) malarkę René (*Miejsca kobietom*) Klarę (*Okrężne*), Młynarkę (*Zaczarowane koło*).— Szczególniej zajęła mnie jej gra w *Kole zaczaro-*

wanem, a pomimo, że mam w pamięci popisy nie zrównane p. Siemaszkowej, ujęła mnie gra Turskiej prawdziwa, swobodna i jednolita, gra, z którą mogłaby z powodzeniem wystąpić na scenie krakowskiej.

Popis w *Kole zaczarowanem* rozstrzyga o jej artystycznym kierunku. Grając w naszym teatrze obok p. Siemaszkowej mogłaby wiele się od niej nauczyć, ale mimo tego, w jej interesie nie radziłbym dostać się na scenę krakowską. Jej dalsza szkoła, jej wyrobienie, to Łódź albo Poznań. Tam mogłaby rychło wyrosnąć, jako aktorka do dramatu, jeżeli mnie nie łudzą, tych kilka jej popisów, na scenie. U nas najgorzej płatna, nie mogąca sprawiać gaży swej kostyumów, na scenie ograniczającej aktorce pole rozwinięcia gry, nie mogąc dostać się do ról kostiumowych, zeszlaby na trzeciorzędną aktorkę, figurowałaby jako paź w *Hamlecie*, a dalszoby szkoda jej na to, szkoda, by zeszyła na odaliskę.

Niech więc pani Turska nie łudzi się szkołą u nas, bo jej nie znajdzie, lecz niech szuka kariery pieniężnie i artystycznie korzystniejszej dla swego talentu w Poznaniu lub Łodzi, a niewątpliwie rychło wyrobi się na siłę dramatyczną.

Na prowincyi szkoda jej. Na prowincyi dobra jest praktyka próbna w pierwszych latach, podczas której, aktor gra wszystko, jak np. trzydziestoletnia siostrzeniczka dyrektora gra rolę babki, a młodzieńka Kwiatkowska była wosatym strzelcem (czarny charakter w *Przekupce*).

Te próby, są próbami usposobienia scenicznego do pewnych ról. Nic więcej. Dłuższa włóczęga po prowincyi, niszczy wszelki talent, zwłaszcza, że powodzenie dzisiejsze scen prowincjonalnych w Galicyi, już na długo pogrzebane. Scenę zadziubały Sokół.

Pół wieku temu, trupa Gubarzewskiego w Sączu, wyłoniła Ładnowskiego i Rakiewiczową, trupa Łobojki we wschodniej Galicyi Modrzejewską i Bendę. Z prowincyi wyszedł wytworny amant Wilkoszewski, Rapacki i wielu innych. Ale wtedy losy prowincjonalnych teatrów były inne. Miasta zapraszały entrepreneurów, gościły trupe, dawały jej zazwyczaj bezpłatnie lokale. Sławna na całą Galicyę oberżystka Obrechtowa w Rzeszowie odstępowała Luftmaszynę bez zastrzeżeń. Więc aktorzy mieli zyski i porastali w pierze.

Odkąd powstały gniazda sokole, opustoszały gniazda teatralne. Sokoley pobudowali sale dla własnego użytku. Teatr dostaje się do sal tych z łaski i w warunkach pieniężnych tak ciężkich, że entrepreneur zmuszony grubo płacić za salę, przed rozpoczęciem widowisk, nigdy nie jest pewny jak wyjdzie na swoim, i czy nie opuści miasta z torbami. Wymagania Sokolów mogą mieć swoją rację, bo muszą z sal mieć dochód, ale miasta powinny dopomagać scenie narodowej.

Dzisiaj, gdy na Sejmie 3 maja b. r. uchwalono zbadanie, czy nie możnaby utworzyć wędrownego teatru ludowego i gdy obecnie kwestya ta zajmuje żywo wydział krajowy, mniemam, że pierwszą rzeczą byłoby zapewnić u miast i gmin bezpłatną gościnę aktorom, obmyślenie im sal scenicznych z potrąceniem kosztów służby, światła i muzyki, a samo urządzenie teatrów ludowych polecić teatralnym przedsiębiorcom, Czajkowskiemu, Piaseckiemu, Müllerowi i innym, zapewnić im zasiłki na każdorazowe gniazdowe usadowienie się teatru na prowincyi. Mógłby wydział czuwać nad repertoarem, sprawdzać przez delegatów prowadzenie teatru, dawać wskazówki co do repertoaru — ale bez zapewnionego, przez gminy

poparcia, bez zobowiązania się pisemnego miasteczek do urządzenia sal widowiskowych, nie można myśleć o stworzenie teatru ludowego. Wszystko to kosztuje i to bardzo wiele, sami entrenceerzy nie mogą poświęcać się dla celów choćby najbardziej humanitarnych.

KAROL ESTREICHER.